

Blyskotliwa kariera i tajemnica śmierci Mozarta w teatrze Studio

# Dość wesoło, chociaż smutno

*Salieri niszczy Mozarta, chce uwieść jego żonę. Nie tylko w obawie o własną pozycję, ale także po to, by zobaczyć, czy coś się w końcu stanie. Salieri sprawdza Pana Boga*

Amadeus” to historia błyskotliwej kariery i tajemniczej śmierci Wolfganga Amadeusza Mozarta opowiedziana przez Antonia Salieriego – kompozytora i kapelmistrza cieszącego się szczególnymi względami dworu wiedeńskiego – dla którego Mozart, błyskotliwy geniusz szybko zdobywający salony stolicy, okazał się najpoważniejszym konkurentem w staraniach o przychylność cesarza. Niejasne okoliczności śmierci Mozarta stały się szybko przedmiotem licznych spekulacji i efektownych, wręcz sensacyjnych utworzeń literackich. Choćby w „Mozarcie i Salierim” Aleksandra Puszkina, gdzie sprawa tajemniczego morderstwa została przedstawiona jednoznacznie. „Amadeus”, dramat teatralny napisany przez Shaffera przed dwudziestu kilku laty, żywi się tą samą plotką.

## Ważne pytania

To, czy Salieri zamordował Mozarta, czy mord tylko zlecił, a może pozostawał bierny z nadzieją, że znakomity konkurent i tak niczego nie osiągnie, czy może przeciwnie – sprzyjał karierze Mozarta świadom, jako jeden z niewielu współczesnych, że obcuje z geniuszem, nie ma dla teatru po przeszło dwustu latach żadnego znaczenia.

Kto wystawia „Amadeusa”, stawia sobie inne pytania: o granice wolności artystycznej, o cenę, jaką warto ponieść dla sławy i kariery, o pieniądze, którym rządzi bezguście, wreszcie o kompromisy i uwikłania artystów i władzy. Ten ostatni trop, dzisiaj o mniejszym znaczeniu, ważniejszy wydawał się w roku 1981, kiedy wybitną prapremierę „Amadeusa” przygotowywali w Teatrze na Woli reżyser-emigrant Roman Polański (Mozart) i Tadeusz Łomnicki (Salieri).

„Amadeus” rodzi także ważne pytanie o boską sprawiedliwość stawiane bez mała tak wyraźnie jak w „Don Juanie” Moliere. Salieri knuje przeciwko Mozartowi coraz energiczniej i czeka, kiedy na tę jawną niesprawiedliwość zareaguje Bóg. Niszczy Mozarta, chce uwieść jego żonę. Nie tylko w obawie o własną pozycję, także po to, by zobaczyć, czy coś się w końcu stanie. Salieri sprawdza Pana Boga.

W przedstawieniu Zbigniewa Brzozy poza kilkoma kwestiami zapisanymi w tekście dramatu Boga nie ma. Jest światło reflektorów tworzące kontury krzyża, pod którym po latach odbywa się spowiedź Salieriego; jest dramatyczny, finałowy okrzyk: „Mozart, wybacz swemu mordercy!”, ale mimo tych sygnałów nikt tam nie chce i nie potrafi wadzić się z wiecznością.

## Wulgarny Mozart, smutny Salieri

Mozart (w tej roli Andrzej Mastalerz) to nie genialne dziecko, szczerze i naiwne, nieobyte z dworskimi konwenansami, trochę szalone i niesforne, ale genialny cham

– nieokrzesany, niekiedy nawet wulgarny typ, który konwenanse i etykiety łamie świadomie, na przekór wszystkim i często z przyjemnością. Ten nerwowy flejtuch w ciężkich butach i z rozczochranymi włosami potrafi rzucić zazdrosnym dworakom cesarza: „Siedzicie panowie na wysokiej grzędzie, ale dziury w dupach widać wam i tak!”. Brzoza słusznie nie chce robić z Mozarta głupkowatego świętoszka, ale unikając jednej pułapki, wkłada się w drugą. Takiego Mozarta-prowokatora, który wrzeszczy do Konstancji: „Zdarła z siebie szmaty brudne, zjadła na dodatek gówno”, albo wspomina starego ojca: „Stary pierdoła, nienawidzę go”, nie będzie w finale nikomu żal.

Salieri w interpretacji Zbigniewa Zapasiewicza jest bardziej wieloznaczny. Za cenę sławy i spokojnego bytu jest gotów na morderstwo, ale w rzeczywistości to morderca smutny, desperat upokorzony

przez geniusz, do którego nigdy się nie zbliży. W jednej ze scen Mozart nie tylko odgrywa z pamięci całe frazy marsza, który Salieri skomponował z okazji pierwszego spotkania młodego kompozytora z cesarzem, ale z łatwością improwizuje na jego temat efektowne wariacje. Te kilkanaście sekund wystarcza, by Salieri pojął, że on sam już się skończył, chociaż nikt poza nim jeszcze tego nie wie.

Słuchając tych popisów Mozarta, Zapasiewicz jako Salieri wypala natychmiast: „Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o morderstwie”, i zdanie to brzmi jak komediowy komentarz. Tak też – śmiechem – została na premierze odebrana przez część publiczności. Tymczasem te same słowa wypowiedziane choćby chwilę później, w ciemności i ciszy, po wybrzmieniu ostatnich taktów Mozartowskiej wariacji, zdradzałyby smutek i gorzyc. Miałyby więc, jako dowód straszliwego żalu,

siłę znacznie większą niż najostrej wykrzykana groźba. Scena ta mogłaby być kluczowa dla całego przedstawienia – to de facto scena śmierci Salieriego, chociaż to przecież on zapowiada śmierć kogo innego.

## Pęknięty spektakl

Efektów komediowych jest w przedstawieniu Zbigniewa Brzozy więcej. Tak na przykład została zbudowana rola cesarza Austrii. Józef II (Sławomir Orzechowski) to nie władca, niechby i bez gustu, ale zwykły głupol, który nie zna się ani na muzyce – brzdąka po klawiaturze jednym palcem – ani na szermierce. Nie umie słuchać opery – to pół biedy, ale nie umie nawet normalnie chodzić, potrafi tylko zamazywać paradować jak kolorowy pajac. Komediowość nie byłaby zresztą w „Amadeusie” wyborem złym, gdyby została użyta konsekwentnie. Tymczasem suro-

wa, ciemna scena bez zbędnych sprzętów, wózek inwalidzki staruszka Salieriego, sugestywne zimne zakamarki wielkich sal pałacowych pojawiające się w oddali jak ledwie podświetlone, nierzeczywiste cienie – wszystko to sugeruje poważną rozprawę.

„Amadeus” w teatrze Studio mógłby więc być przedstawieniem ważnym, gdyby jego twórcom nie zabrakło pewności, że tym tekstem można dziś prowadzić z widzami poważną dyskusję. A tak zamiast istotnego sporu pozostaje tylko znana zagadka sprzed dwustu lat, kilka pięknych obrazów, poruszających monologów i parę zabawnych grepsów. Nie brakowało wiele, by osiągnąć więcej.

MAREK RADZIWIŃ

Peter Shaffer „Amadeus”, reż. Zbigniew Brzoza, scen. Dorota Kotodęńska, tłum. Bogumił Trekowski, teatr Studio w Warszawie, premiera 31 stycznia 2002